

NIEWIASTA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KOBIECYM.

6, 12, 28

Wobec napaści niedowiarków.

Żyjemy w czasach, gdy ze stron różnych słyszeć możemy twierdzenia i zapewniania, że świat bez religii obejść się może oraz, że panowanie jej upada. Wiele nauk nowoczesnych, sztuk pięknych, utworów literackich, dążeń społecznych i politycznych, które za pośrednictwem religii wzniosły się tak wysoko i które też przez to do podniesienia ducha i szczęścia ludzkości się przyczyniały, póki trzymały się wiary, dziś po części jej się wyrzekają, głosząc światu, że religia jest rzeczą poboczną, zbędną, że żywot jej jest na skonaniu. Głosy takie rozlegają się po akademiach, parlamentach, klubach i stowarzyszeniach wszelkiego rodzaju, a wtóruje im cała rzesza pism i książek. Są wyjątki w tym względzie, bo głosów mądrych i odważnych nigdy nie zabraknie wśród ogólnego nawet zepsucia, ale tych nikt prawie nie słucha z tych odurzonych, bezmyślnych ludzi, porwanych wirem niewiary i ślepego obłądu.

Zaraza ta moralna zwłaszcza po wielkich miastach się szerzy, gdzie też najłatwiejszy ma przystęp wyuzdanie i rozpusta a gdzie pycha bogactwa stoi o krok od rozpaczliwej nędzy, które człowieka umysł nieraz na manowce prowadzi — jednak i do spokojnych wiosek naszych wtargnęły już tu i ówdzie, naniesione ze świata, kuszące szeptu, słowa lekceważące wiarę, szyderstwa i naigrawanie się z tego, co duszy ludzkiej ma być najdroższe. Takie zuchwałe i bluźniercze głosy wychodzą czasem z ust tych, co bez gruntownych zasad wiary wyszedłszy z domu na obczyznę, tamże za cel życia obrawszy sobie jedynie zdobywanie grosza, choćby kosztem uczciwości uzyskanego, zapominają o wyższych celach człowieka, grosz zarobiony trwoną czasem na grzeszne hulanki, wśród zepsutych towarzyszy. Ci, gdy powrócą do rodzicielskiego domu, co przyniosą z sobą? Tylko niewiarę i zgniliznę ducha. Nieraz też syn wasz wróciwszy z kilkuletniej służby wojskowej, przyniesie pod rodzinną strzechę serce zdziczałe i zobojętniałe dla uczuć czystych, prawdziwie chrześcijańskich.

A zdarza się rzecz jeszcze smutniejsza, oto — że ktoś we wsi osiadły, z zawodu swego mający wszyst-

ko co najmądrzejsze i najlepsze wszczepiać w serca ludności, zapomina o tem, co w tych sercach ma być podstawą wszelkiej nauki i fałszywe głosząc zasady, gorszący przykład jej daje...

Nie dziw więc, że tak złym wpływom ulegają częstokroć umysły ludzi, którzy na dno sprawy nie umieją zajrzeć, którzy bez rozwagi chłoną w siebie słowa błędnej nauki a mądrość chcą czerpać z przewrotnych pism i gazet.

Człowiek wierny i rozważny nie przyjmuje jednak na ślepo zaprzeczenia tego, co życia narodom dawało przez wieki a co waży złotem w jego własnym życiu. Więc gdy wrok swego ducha zapuści w ową marną wieść o skonie religii, szerzoną przez skrzywiony postęp naszych czasów, rychło się przekona, że wieść taka nie jest nowa, — że całkiem z prawdą się nie zgadza — i że nawet nie płynie z przekonania samych tych, co ją szerzyć usiłują.

A więc naprzód, rozważmy, że dusza ludzka bez religii byłaby jak ryba bez wody, jak ptak bez skrzydeł i powietrza. Ludy wszystkich czasów i krajów miały swoje religie, uznając je za oś swego życia. Ci nawet, co wiary się wyrzekają, łudzą się, bo w chwili śmierci obraz jej staje im jak widmo wyrzutu przed oczyma.

Co do religii chrześcijańskiej w szczególności, to napaści na nią i wróżby o jej skonie są tak stare, jak ona sama. Cesarze pogańskiego Rzymu, wierzyli silnie, że krwawem prześladowaniem pokonają chrześcijaństwo. Julian Zaprzaniec, cesarz rzymski, który, choć chrześcijanin, stał się odstępcą, był również tegoż pewien. W całym państwie przywrócił obrządek pogański, poznał chrześcijańskie szkoły, poburzył kościoły, wyznawców Chrystusa gnębił prawem i mieczem.

I jak się te dzieje skończyły? Oto on sam umarł strawiony okropną chorobą a prawda przez niego tłumiona przetrwała aż dotąd.

Po jego skonie co wieków parę powtarzały się ataki na wiarę katolicką. Luter nazwał papieżstwo „starym łachmanem, w proch się rozsypującym“ a konając, napisał o nim kredą na ścianie: „Moja śmierć cię zabije“. Jednak kościół pozostał pewny i stały na swej opoce, którą mu dał Chrystus.

W 200 lat po Lutrze, francuski filozof Wolter

pisał do jednego ze swych przyjaciół: „Mówią, że dwunastu ludzi wystarczyło do zaprowadzenia religii chrześcijańskiej, a ja ci pokażę, iż wystarczy jeden, aby ten gmach zważyć. Oto po 20 latach nie zostanie z niej śladu! — Było to w wieku 18. Wolter i jemu podobni filozofowie, wywołali w dziejach ówczesnych, kałuże błota i potoki krwi, nim światło prawdy znów wzięło górę. Chrystyanizm trwał niezruszony; tłumy żadne słowa świętego znów cisnąć się zaczęły do kościołów.

Dziś niewiara klas wyższych sprowadziła rozprężenie w rodzinach i rozłam w społeczeństwie, ale nie śmierć religii; im głośniejsze o niej krzyczą wrogowie, tem ona wybitniej zaznacza swe życie i choćby się spotkała z prześladowcami jeszcze sroższymi niż ci, co ją w ciągu tylu wieków gnębili — wypłynie zawsze zwyciężko.

W protestanckiej Anglii w ciągu zeszłego stulecia wróciły do katolicyzmu 2 miliony ludności. W Stanach Zjednoczonych, gdzie przed 100 laty było 40 tys. katolików, 20 kapłanów a jeden tylko biskup, dziś jest 14 milionów wiernych, 17 tysięcy kapłanów, 95 biskupów.

Zresztą we wróżbę o upadku religii, głoszoną przez jej wrogów, oni sami nawet nie wierzą. Gdyby się zgadzało z ich przekonaniem, że się ona przeżyła, że zamiera, pozwoliliby jej zejść ze świata spokojnie i okazywaliby jej tylko litość, jaką ludzie uczuwają wobec konających. Nie lękaliby się jej tak bardzo, nie piórunowaliby przeciw niej w parlamentach, akademiach, gazetach. Wszak umierającego nikt się nie boi.

Jednakże, dobrze tym ludziom wiadomo, że nie gaśnie ona, i dziś jeszcze, jak i dotąd, panuje. Zaciekłość z jaką przeciw niej powstają, to skutek tej niepokonanej pychy, której pierwiastek, od początku świata tkwi w sercach ludzkich i tchnąć w nie usiłuje żądza wyzwolenia się z pod władzy swego Stwórcy i Zbawiciela i ufność we własnym tylko rozumie — choć wieki stwierdziły, jak rozum ludzki jest marny, jeśli od wiary odstępkuje.

Stójmy silnie przy wierze, a przetrwamy te ciężkie pokusy!

Czy znasz?

A znasz ty kraj, rodzinny kraj,
W zapachu traw, brylantach ros,
Kędy w jesieni kwitnie wrzos
A wiosną się zieleni gaj?

A znasz ty śpiew, skowronka śpiew,
Co brzmi ci w sercu niby dzwon,
Piosnki ludowej dźwięczny ton,
W poświstach wichru, szumie drzew?

A znasz ty obszar naszych pól,
A na nich złoty żyta łan,
Gdzie w swej zagrodzie każdy — pan,
Na swym zagonie, każdy — król?

A, znasz ty dzwonów cichy jęk,
Co płynie błoniem, pośród lip —
Ten wiejski gwar, żurawia skrzyp,
Kmieciego ula pszczołny brzęk?

A znasz li miły druha ty,
Ową tęsknotę zżętych pól,
Te męki nasze, ten nasz ból,
Naszą niedolę, nasze łyzy?...

Udział kobiet, w pracy kółek rolniczych.

Opatrzność Boska dała nam człowieka nadzwyczaj gorliwego i nieustraszonego. Dała nam pracownika który pomimo swego już podeszłego wieku całego siebie ludowi oddaje. Życie jego sprawom społeczeństwa polskiego poświęcone, nie szło mu drogą wyścielaną różami i kwieciami, ale przeciwnie, drogą ciernistą, kolczastą, zawałaną kłodami i zapórami, z za których w ukryciu czychano, by uczynić zamach, zniweczyć i unicestwić robotę i pracę.

Tą osobą jest nam wszystkim kółkowcom bardzo dobrze znany, serdecznie i bardzo wysoko ceniony nasz protektor Kółek rolniczych p. **Dr. Bronisław Dulęba**. Jemu przeważnie przypisać należy dzisiejszy rozwój Kółek rolniczych. Ks. Stojalski i On byli pierwszymi ich inicjatorami i u nas w kraju. On stale w nich pracuje od przeszło 30 lat, jednocześnie w kółkach wszystko, co może być dobre i odpowiednie dla nich i ich członków.

Pomijając już kółkowe straże ogniowe, Składowice przemysłowo-handlowe, sklepy itp. działy rolnicze, obecnie pracuje od dwóch lat nad sprawą bardzo doniosłego znaczenia, która zrobi wkrótce szalony przewrót w dziedzinie dotychczas zaniedbanego gospodarstwa **w postępie kobiet, gospodyń wiejskich**.

Bardzo tedy szczęśliwą myśl podniósł nasz protektor pan Dulęba, zakładając przy Kółkach rolniczych kursa „gospodyń wiejskich“, gdzie to uczą się wszystkiego co wchodzi w zakres gospodarstwa domowo-kobiecego na wsi. Myśl ta była zbawienna i bardzo doniosłego znaczenia.

Teraz kobiety na miejscu mają sposobność wyuczyć się wszystkiego, bo uczą tam oprócz religii i historii polskiej gotowania, pieczenia chleba, kroju, życia, uprawy warzyw, leczenie, dojenie krów, obchodzenia się z nabiałem i t. p. niezbędnie koniecznych rzeczy z działu kobiecego.

Nauka dziś jest rzeczą koniecznie potrzebną do życia, a jak i innym tak potrzebną jest i dla kobiet.

Poza granicami naszego kraju, gdzie to ludność wiejska stoi na wyższym stopniu oświaty i cywilizacji chcąc poznać charakter i inteligencję danej osoby powiadają tak: pokaż mi jak ty umiesz jeść, a ja ci powiem, kim ty jesteś. I rzeczywiście tak jest, że wychowanie człowieka nie ocenia się

po ubraniu, ale po zachowaniu i sposobie zastosowania się.

Piszący te słowa zwiedził bardzo wiele wsi w naszym kraju, bo prawie cały kraj przewędrował i miał bardzo wiele sposobności przekonać się o nieświadomości i nieporadności naszych niektórych kobiet włościańskich po wsiach. Proszę się niegniewać, moje gosposie, że podam wam niektóre ważniejsze fakta na które u nas bardzo mało się zważa.

Pierwsza rzecz to jest **czystość**. Miałem sposobność być w pewnej wsi, gdzie gospodarze są dość zamożni. Dopytuję się tam do wójta. Wójt, bogaty gospodarz, posiada 52 morgi pola, porządne zabudowanie, dom mieszkalny w dwóch przedziałach więc, jak w dym, do niego wstąpiłem. Odpocząwszy trochu poprosiłem wójtową o garnuszek mleka, na które miałem wilczy apetyt. Gosposia uprzejma zdjęła ze ściany ładny garnuszek popłukała wodą podeszła do kołyski, gdzie spało dzieciątko i wyjąwszy koniec pieluchów poczęła wycierać nim garnuszek. Że tego mleka nie wypilem to swoja rzecz, ale, że gosposia nagniewała się na mnie niezawodnie, że i przeklinała mnie w duchu, to już była jej rzecz. I miała rację, bo sam o mleko poprosiłem, a nie mogłem powiedzieć przyczyny niepicia. Wolałem ten gniew kobiety na sobie znieść, niżli zadać jej wstyd w jej domu. W innym znów miejscu wycierano naczynie w fartuszek, róg prześcieradła z łóżka, a nawet w koszule.

Jest to prawdą, że te co to czyniły, to ze swej nieświadomości bo myślą, że dobrze czynią i nie zdają sobie z tego sprawy, a nauczyć się nie miały gdzie.

Ileż to jest takich, że mają na swoje potrzeby domowe wszystko i mąkę, z której chleba nie potrafi upiec, i mięso, z którego nie potrafi nic smacznego przygotować i nabiał i drób, i jarzyny i owoce, a to się wszystko zmarnuje, a dlaczego? bo brak wiedzy i nauki.

Ażeby temu zapobiedz i przyjść z pomocą kobietom wiejskim w nauce, jak to już wspomniałem, zaprowadza się kursa gospodyń wiejskich przy Kółkach rolniczych.

W roku ubiegłym na zjeździe delegatów Ogólnej Rady Towarzystwa Kółek rolniczych w Złoczowie wzięło udział w ogólnej Radzie T. K. R. około 50 kobiet z Krośnieńskiego, które odbyły takie kursa, i które to nie miały słów na podziękowanie p. protektorowi Dulębie w uznaniu za Jego pracę rad uświadomieniem włościanek. Toteż Zarząd Główny Tow. Kółek rolniczych we Lwowie przy zmianie starego Statutu wstawił do nowego dla kobiet takie same prawa jak i dla mężczyzn. I całkiem słusznie, bo gdy weźniemy tak rzecz bezstronnie i sumiennie pod rozwagę, to przyjdziemy do tego przekonania, że kobiety w $\frac{3}{4}$ częściach podtrzymują Kółka rolnicze i sklep, bo mąż chyba o tyle, że czasem w Kółku wypije szklankę jakiego trunku i jeżeli jest trafika kupi sobie tytoniu i cygar, natomiast kobieta począwszy od kupna igły, nici, maki, krup i t. p. potrzebach domowych, popiera działalność

społeczną Kółek. Jeżeli to zrozumienie sprawy dla dobra ogółu społecznego ale szerszych warstw naszego włościaństwa u kobiet dojdzie to powinno a nawet muszą wejść, jako członkowie do Zarządu Głównego T. K. R. i stanąć na czele kobiecego działu gospodarstwa domowego. — Bo jeżeli mogą kobiety bardzo dodatnio dla spraw narodowych pracować w innych Towarzystwach choćby Tow. Szkoły Ludowej, to dlaczegoż nie mają mieć prawa w pracy tak żywotnej jak Kółka rolnicze.

Jeżeli w ten sposób przez Kółka pójdziemy z uświadomieniem do tych licznych zastępów kobiet wieśniaczek, jeżeli one zrozumieją swój cel i zadanie, to wtenczas łatwiej nam przyjdzie wyrzucić wroga, który nas gniecie i trzyma jak gdyby w kleszczach, bo jakie będą nasze kobiety Polki takie będą z nich matki i takich będziemy mieli mężów stanu, i takie będzie nasze społeczeństwo. Kobieta — polka, wychowująca swe dzieci, swoich synów w duchu narodowym polskim, przyczynia się tem samem do odbudowania naszej utraconej Ojczyzny Polski. A skąd o tem owa kobieta włościanka Polka będzie wiedziała, jeżeli jej się nie da możliwości poznania tego, że ona ma być dobrą i dzielną matką, że przez nią mamy dążyć do odrodzenia i odbudowania naszej na trzy części rozerwanej Ojczyzny Polski, że od dobrej matki wszystko zależy.

Otóż, Kochani Bracia, czy to włościanie czy mieszczanie, lub na jakich innych wyższych stanowiskach, a chcecie i czujecie tak od serca po polsku starajcie się wszędzie, w każdej wsi, ażeby przeprowadzić taki kurs dla gospodyń wiejskich. Wszelkich informacji i porady udzieli Wam nasz czcigodny inicjator pan Bronisław Dulęba, p.rotektor Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie, ul. Mickiewicza 26. — *Szczęść Boże w zbożnej pracy!*

Michał Plezia. chłop z nad Prutu.

Niewiasta chananejska.

(Legenda z czasów Chrystusowych).

W kącie ubogiej izby, stara kobieta, przyrządzająca skromne śniadanie, usłyszawszy trwożne wołanie: — Matko! matko! — rzuciła na ławę chleb trzymany w rękach i podeszła ku dziecku, z rozpaczą w twarzy, pytając:

— Znów cię, córeczko moja, ta straszna choroba napada?

— Znów, matusiu — odrzekła dziewczeczka, tuląc się do matki i zaciskając ramiona wokoło jej szyi. Czuła ona, po trwodze, jaka na nią spada, że zbliża się ta niemoc, która ją trapi od urodzenia, tak okrutnie. Po uczuciu lęku, od którego krew ścinała się w jej żyłach, następowały konwulsye, miotające jej ciałem i utrata świadomości. Biedna matka patrzeć zawsze musiała na jej wytrzeszczone bez miary oczy, na sine usta pianą oblane i słuchać jej żalosego jęku.

Kobieta przytuliła do piersi głowę ukochanego dziewczęcia i szeptała drżącymi usty słowa pociechy?

Tylekroć już przechodziła ona tę straszną mękę na widok cierpienia swego dziecka i nieraz też, w przystępie rozpaczy, przychodziła jej myśl szalona udusić własną ręką to biedne pisklę, by nie trapiło się tak straszliwie.

Każdy krzyk dręczonego dziecięcia palił mózg i ranił serce nieczęściwej matki. Pragnąc przynieść mu pomoc, chodziła po lekarzach, znachorach, wrzucając w ich chciwe ręce grosz krwawo zapracowany. Ale wszystko dotąd było próżne. Posłyszała wreszcie o cudownej wodzie w sadzawce Betsaidy, która poruszona skrzydłem anioła, przynosiła zdrowie temu, co pierwszy uścięgnął się do niej dostać. Zapożyczwszy się na drogę, zawiodła dziecko do tego miejsca.

Tam ujrzała dokoła wszelkie niemoce trapiące ludzkie ciało: na schodach prowadzących ku sadzawce, siedziały wychudłe postacie, do szkieletów podobne, wyciągające bezwładnie członki; widziała otwarte, ropiejące rany, zatruwające powietrze wonią zgnilizny, widziała martwe oczy ślepców, słyszała śmiech waryatów, wrzaski opętanych, szepty błagalne wierzących. Byli tam sparaliżowani starcy, dzieci ze skrzywionymi nogami, których widok do głębi poruszał serce.

Zaczęła błagać izraelskiego Boga „Jedynego“ i po chwili ujrzała, jak woda drgnęła i na powierzchni jej ukazała się jakoby sieć zmarszczek, ledwie dla oczu dostrzegalnych.

Powstał tłok i z wielkim tylko trudem przecisnęła się z dzieckiem do tej wody, zdrowie dającej tym, co wierzą.

Zanurzyła w wodę ciało dzieciny, aż po główkę, ale po chwili wstrząsać niem zaczęły rzucania tak silne i gwałtowne, jak nigdy jeszcze przedtem.

W kobiecie serce jakby zamarło, przerwała modlitwę, a niosąc dziecko po schodach na górę, czuła w duszy ból i rozpacz bez granic. Wtem obok niej odezwał się głos jakiś cichy i łagodny:

— Kobieto, pierwszy raz jesteście w Betsaidzie a już rozpacz macie w oczach. Nie trzeba tracić nadziei. Usiądźcie tu, obok mego topeczanu, spocznijcie.

Słowa te powiedział do niej starzec paralityk, uśmiechając się do niej i robiąc z trudem miejsce dla niej, na swym barłogu. Niewiasta złożyła na łonie dziecę i osunęła się na kolana, wpijając w błękit oczy, w których widać było tylko ból duszy ale brakowało w nich wyrazu ufności i wiary. Starzec mówił dalej:

— Czyż nie wiecie, że miłosierdzie Pana wyzbrać trzeba? Nie przychodzi ono tak na pierwsze zawołanie duszy znużonej. Spójrzycie, ile dokoła nas ludzi czeka uzdrowienia. Uzbróćcie się w cierpliwość.

Kobieta powtórzyła smutnie:

— W cierpliwość...

Starzec mówił dalej:

— Oto widzicie, ja już długie lata oczekam na uzdrowienie. Młody i silny byłem, gdy raz wróciwszy do domu po pracy w winnicy, zostałem porażony powietrzem, które tak mnie z nóg zważyło, jak siekiera podcina pień drzewa. Przywiodła mnie do Bet-

saidy żona moja, słodka Rachela, już dziś nie żyjąca i tu co dnia znoszono mnie do sadzawki, zlewając mi członki cudowną wodą, ale dni i lata mijały, a uzdrowienie nie przychodziło. Po śmierci Racheli gragnałem wyzdrowienia, aby choć na jej grób się zawlec.

— A czy schodzicie staruszku do sadzawki?

— Niema kto teraz mnie znieść, kobietko. Syn, który już z dawna w domu mym gospodarzy, czasu nie ma, synowa jeść tylko przyniesie, ale czuwać przy mnie nie może, ma dzieci, służbę. Ale gdy wnuczka dorośnie, to zaprowadzi mnie do świętej sadzawki. Gdy przyjdzie czasem mnie odwiedzić, to dzieciątko najmilsze, to szczebiocze: „Jak dorosnę, to zaniósę was do sadzawki, dziaduniu, tyś lekki a ja niedługo już będę silna. Będziesz zdrow, dziaduniu“.

Starzec rzekłszy to, dodał:

— A więc czekam; trzeba mieć cierpliwość i wiarę.

Tu z pod zwiędłych powiek wymknęły się dwie grube łzy i spłynęły na twarz pooraną bruzdami.

Kobieta rzekła:

— Szczęśliwi jesteście przy kalectwie, ze swoją wiarą; ja jej tyle nie mam, co wy. Ale oto i wracać trzeba. Żegnajcie.

— Będę się modlił za was i za wasze dziecię, bo wam obu trzeba uzdrowienia — szepnął starzec z litością.

I wróciła niewiasta do domu i oto lata jeszcze przeszły, z dziecka dziewczyna wzrosła, ale straszne ataki nie przestawały ją męczyć. Matka w bezsilnej bolesti, już i modlić nie nie potrafiła; wiara w miłosierdzie Boże zaczęła ją opuszczać. Od ludzi spotykała ją niechęć i obojętność. Zamknęła drzwi od chaty, by nie powiedziano, że oczy jej córki urzekły komuś dobytek lub zdrowie.

Dnia jednego, widząc iż po silnych konwulsjach, dziewczyna zasnęła, a usta spiekły się od gorączki, zajrzała do dzbanu, a widząc że pusty, wzięła go, by przynieść wody ze źródła.

Na wąskiej ścieżynie wijącej się wśród zbóż, ujrzała gromadkę ludzi, pośród których postępował człowiek w białej szacie, coś mówiący do otaczających go mężów i niewiast, którzy z przejęciem słuchali mowy Jego. W postaci Jego przebijała Boska powaga i dobroć niezmienna.

— Kto jest ten mąż? — zapytała mijających ją ludzi.

— To wielki Nauczyciel, od Boga zesłany Jezus z Nazaretu.

Niewiasta spojrzała z niedowierzaniem. W tej chwili spokojne, głębokie oczy Męża Bożego spojrzały na nią ze smutkiem. Usłyszała obok siebie życzliwy głos jakiś:

Jeśli jesteście chora niewiasto, lub chorych masz w domu, korzystaj, to Syn Boży — uzdrowił już wielu ludzi.

Kobieta rzuciła się ku białej postaci, wołając:

— Zmiłuj się nademną, Panie, synu Dawidów, córka moja często od czarta bywa trapiąca.

Żrenice Jezusa z wyrzutem zwróciły się ku niej i rzekł:

— Gdzie wiara twoja? dałaś ją sobie zabrać, niewiasto?

— Panie, ratuj dziecko, moje!

Jezus odrzekł:

— Nie jestem posłany tylko do owiec, które zginęły z domu izraelskiego. Nie dobrze jest, brać chleb dziecinny, a miotać go szczeniętom.

Niewiasta wpatrzona w święte oblicze, uczuła w duszy jakieś radosne przeobrażenie, załkała pierś weszbraną uczuciem szczęścia, bo uwierzyła w tej chwili, że ma przed sobą Boga, cuda czyniącego. Padając do Jego kolan zawołała:

— Panie, a wszakże i szczenięta jedzą odrobiny, które spadają ze stołów panów ich.

Czuła teraz niegodność swoją, ale wiara jej się wzmogła.

Ręka Syna Bożego opadła na posiwiałą, w pyłe drożnym leżącą głowę; kobieta usłyszała słowa:

— Niewiasto, wielka jest wiara twoja, niech ci się stanie, jako chcesz.

Przywarła ustami do stóp Jego, a z duszy jej popłynęła wielka, dziękczynna modlitwa za ukochane dziecko i za natchnienie wiarą, które na nią zstąpiło.

Ofiara.

W zimowe popołudnie posuwał się przez Krakowskie Przedmieście w Warszawie, wolnym krokiem, ubogo lecz czysto ubrany nie pierwszych już lat mężczyzna. Twarz jego pomarszczona, nacechowana była miłą słodyczą jakąś anielską, która miłymi ludzi czyni i która oczarowuje poprostu tych, którzy z takim człowiekiem obcuje.

Staruszek posuwał się dość powoli, wymijał idących i co chwila oddawał ukłony przechodzącym.

— A! — jak się pan ma, panie Kapostas? Tak długo pana nie widziałem — pewnie znowu urządzałeś jakie wycieczki po podmiejskich zaułkach.

Zagadnięty w ten sposób staruszek zwrócił głowę i bystro spojrzał na mówiącego, bogato ubranego mężczyznę, powoli zaczął poruszać wargami, a w końcu wyszeptał: — Ależ ja pana nie znam...

— Mniejsza o to; wystarczy jeśli ja cię znam panie bankierze.

Staruszek jeszcze bardziej się zdziwił, a ten, który go zaczepił ciągnął dalej:

Dziwisz się pan zapewne, skąd ja go znam, lecz wiedz, że jesteś obecnie najbardziej znaną osobą w Warszawie — o czym miałem sposobność niejednokrotnie się przekonać. Zresztą, nie będziemy tu stali; zapraszam pana do siebie, a tam obszerniej pogadamy o tem.

Przepraszam najmocniej — odparł staruszek — ale żadną miarą zaproszenia przyjąć nie mogę. Mam jeszcze dużo interesów do załatwienia.

— Jakto, przecież widzę, że pan bankier spaceruje.

— A zarazem interesy załatwiam.

— Tak na ulicy?

— A tak.

— To i ja czuję się zmużonym interes mój na ulicy załatwić. To powiedziawszy sięgnął do kieszeni, a wyjąwszy sakiewkę rzekł:

Oto pięć tysięcy złotych polskich na listę.

— Wejdźmy do bramy; wydam szanownemu panu pokwitowanie. — Nazwisko?

— Krzempiński Adam.

Kapostas wypełnił szybko ołówkiem pokwitowanie i oddał je Krzempińskiemu, a schowawszy pieniądze podziękował, pożegnał się i wyszedł z bramy dążąc ku ul. Złotej.

W drodze zatrzymywali go ludzie ze wszystkich sfer społecznych, tak mężczyźni jak i kobiety, a on od wszystkich brał pieniądze i wszystkim wydawał pokwitowania.

Późno w noc dopiero szedł strudzony bankier do domu przez nawpół już puste ulice Warszawy, a i w tej drodze wydał jeszcze kilka pokwitowań.

* * *

Nadszedł dzień 24. marca 1794 roku.

Już od rana ważne jakieś na rynku dzieją się rzeczy. Czworobok cały zapchany wojskiem i ludem a nad głowami wszystkich unosiła się atmosfera przepełniona radością, którą ludzie razem z powietrzem wciągał... I duch ich radował się, bo oto ich wódz ukochany będzie im mówił jako ich nigdy nie opuści i jako w chłopskiej siermiędze pójdzie wraz z nimi przeciw wrogowi, aby im ich macierz-ziemię wrócić.

I szły głosy w oczekiwaniu tej chwili po rynku...

— O! — Macieju; pierwszy to taki dzień w mem życiu i bodaj nie ostatni... Święty dzień...

I tu objęli się chłopci spracowanemi od pługa rękami za szyję i popłakali się z radości.

Tam znów zebrał jakiś dziedzic swych kmiotków — prawil, jako im ziemię na własność oddaje, byle ją tylko całą duszą kochali i bronili jej przed wrogiem, który im ją chce zabrać.

Tu padli chłopci na kolana a szlachcie nie mógł już wytrzymać — ryknął płaczem i jął chłopów podnosić i brać w ramiona powtarzając im ustawicznie:

— Braćmi mi teraz jesteście a nie poddanymi.

I szły płacze i okrzyki po całym rynku.

Wtem zagrzmiały bębny i trąby się ozwały. Uciszyło się wszystko. — Od ulicy Szewskiej oddział żołnierzy nadszedł i uformował się u jej wylotu. W pośrodku stanął jakiś chłopiec, lecz chłopiec ten w oczach ludu tytanem się wydawał. W sukmanie chłopskiej i rogatywce stał i głosem donośnym wypowiedział rotę przysięgi, jaką jedną tylko matkę ma: Ojczyznę, którą im, wszystkim jego braciom zdradliwie zabrano i że nie spocznie, póki Jej dzieciom kochającym nie wróci.

I oto na te słowa lud cały się poruszył... zakłótył jako łan zboża... i płacz wielki i krzyk uderzył w niebiosa i stanął przed tronem Króla królów jako prośba i modlitwa zarazem...

Lecz któż to się tak przez szeregi żołnierzy do Naczelnika przeciska? — To najpopularniejszy w Warszawie człowiek bankier Kapostas.

Staruszek przecisnął się w środek i bokiem nieco zwrócony do Kościuszki a twarzą do ludu drżącym głosem mówił:

— Oto ja stary, nie mogąc krwią swą przyczynić się do rozkucia kajdan naszej Ojczyzny, a przewidując z dawna nadejście tej świętej chwili, przeznaczyłem czas swój na zbieranie składek, aby nie trzeba było głodem w obozie przymierać lub z gołymi rękami iść na wroga. Nadto przeznaczam na to cały mój majątek; i tak nie długo mi żyć na tym świecie, a na tamtym pieniądze niepotrzebne. Marną i nieznaczną jest ta ofiara w stosunku do ofiary z krwi waszej, lecz przyjmijcie ją sercem obojętnym takim, z jakim ją, składam.

Skończył, a lud rzucił się w środek, wziął go na wraz z Naczelnikiem na ręce i obnosił z radością po rynku.

Próba odwagi.

Działo się to przed stu laty z okładem, podczas zwycięskich wojen, jakie prowadził z europejskimi państwami, cesarz francuski, Napoleon I. Po bitwie pod Jeną, gdzie Prusacy zostali przez niego na głowę pobici, jeden z nich, pisząc list do żony, ubolewał nad porażką, a zarazem także dodał uwagi o Francuzach:

„Świat cały przekonał się teraz, że Francuzi są zawsze niepokonani. W porównaniu ich wzrostu z naszym, są to dzieciaki, karły i gdyby przyszło nam mierzyć się z nimi na pięści, jeden żołnierz niemiecki powaliłby ich sześciu i z łatwością przetrząsnąłby za okno; ale w szeregach, podczas bitwy, maszeruje to, rozwija się z szybkością bezprzykładną. Kule przelatują ponad ich głowami i podczas gdy stojący w tyle ciężki oficer niemiecki robi pół obrotu na prawo, Francuz powtórzył ten obrót już kilkanaście razy“.

Takich to „dzieciaków — karłów“ — jak ich nazwał ów Niemiec — ściągnął marszałek Napoleona, Murat, jako rekrutów, podczas dalszej wojny z Prusakami, dwa pułki i posłał je jednemu z francuskich generałów, nazwiskiem Lassal, pisząc zarazem: — „Włącz ich generale, do starych żołnierzy“.

Byli to młodzi Francuzi pochodzący z południowej prowincji, zwanej Gaskonią, gdzie lud bardzo męzny. Byli świeżo zaciągnięci i nigdy jeszcze nie byli w ogniu. Wzrostem nie przechodzili 1 1/2 metra.

Murat zajęty wypieraniem reszty armii pruskiej, po kilku dniach, wezwał do siebie generała Lassala i rzekł:

— Dowiaduję się, że część Prusaków z oddziału Hohenlohego trzyma się w mieście Prentzlau; zbierz ludzi, których ci wczoraj posłałem i wyruguj ich.

Lassal, który wprzód uzupełnił Gaskończykami dwa pułki huzarów, tak, aby młodzi rekruci byli

pod okiem wytrawnych żołnierzy, teraz wydał rozporządzenia do bitwy. U niego nie trwało to długo: zapalił krótką fajeczkę, wziął w garść szablę, siadł mocno na siodle, zakręcił wąsa i zakomenderował:

— Szwadrony naprzód! Marsz!

Wpadli do miasta galopem. Drugi i czwarty pułk rzuciły się na francuzów. Lassal słysząc odległe o parę kilometrów strzały armatnie, huknął znów:

— Naprzód!

Cała masa jeźdźców, z pałaszami w rękach, pochylona na koniach, runęła na Niemców, przełamała ich i rozbiła. Wódz tychże, Hohenlohe, na czele uciekających, zaczął się cofać z przedmieścia, huzarzy zaś Lassala, uniesieni zapalem, wypadli z miasta rozrzuconymi plutonami, następując nieprzyjacielowi na pięty.

Wtem koń generała padł a gdy on, oblany potem odwrócił się, spostrzegł, iż cztery szwadrony huzarów pozostały w tyle. Byli to owi Gaskończycy. Nie umiejąc jeszcze wprawnie władać szablą ani zajmując należycie miejsca w szeregu, byli bladzi z przerażenia. Lassal poznawszy ich, wydał komendę:

— Formuj się!

Jego marsowa postać, krzyż zasługi wiszący na piersiach, ogień błyszczący w oczach, przeraziły rekrutów. Gdy się uszykowali, utkwili w nich wzrok, roześmiał się i w ich eskorcie ruszył ku starym żołnierzom. Ci, wstrzymani sygnałem trąbki w pochodzie, zwróciwszy się na siodłach, spoglądali na rekrutów z szyderstwem i śmiali się; za generałem widać było szeregi głów prawie dziecięcych, bladych i pochylonych.

Stąd, zdziwienie ich było niemałe, gdy Lassal, zmieniając szyk pułków, kazał pułkownikom odprowadzić starych do Prentzlau i dodał:

— Będą oni moją rezerwą a Gaskończyków zatrzymam przy sobie.

I na polu bitwy został z czterema szwadronami „dzieciaków“. A widząc, iż w tej chwili, nieprzyjaciel uszykował się na krawędzi lasu, zawołał na nich:

— Teraz pokażcie, co umiecie. Znam waszą odwagę, bo pochodzicie z Gaskonii. Jeśli chwilę pozostaliście za innymi, to wiem, że dlatego, aby nabrać rozpędu!

Wtedy na całej linii zrobił się ruch i wszyscy podnieśli głowy. Wykrzyki zapału, prawdziwie gaskońskie, wywarły im się z piersi.

— Dobrze — zawołał generał. Ale zaledwie umilkł, od strony Niemców zagrziała salwa wystrzałów i pięciu huzarów spadło z siodła. Lassal nie rzekł na to ani słowa, rozkazał tylko „ścisnąć szeregi“ jak na manewrach i zakomenderował:

— Baczność! Szwadron pierwszy! Formuj linię!

Później za chwilę:

— Naprzód! Marsz!

Szwadron ruszył, żołnierze postępowali za swym generałem, wyprostowani na siodłach, jak upiory. Nowa salwa powaliła znowu trzech ludzi. Lassal zawołał:

— Truchtem! Marsz! — po przejściu stu kroków, zawołał:

— Galopem! Marsz! — a widząc, że mniej niż on, zwinni i zgrabni, krzyknął:

— Po huzarsku, u kata! Do ataku!

Szeregi jak wichur puściły się po równinie ku armatom. Gdy nieprzyjaciół odległy był tylko na trzysta kroków, padła na Gaskończyków komenda:

— Baczność! — a w kilka sekund potem: — Stój!

Poczem zwrócił się do frontu. Rozkaz jego był niespodzianką przykrą dla huzarów; odezwały się głosy żalosne: — Do ataku! — Do kroćset, do ataku!...

Bomby pękały pod nogami końskimi i na kilkanaście kroków wyrzucały jeźdźców na ziemię. Wściekłość ogarnęła szwadrony. Generał, stojąc w ogniu, wznosił w górę szablę i zawołał:

— Równaj się! — Stój!

Generał sam narażony na śmierć każdej chwili, zmusił teraz swych Gaskończyków, by patrzyli w czy śmierci, z podniesionymi głowami stojąc pod gradem kul i kartaczy. Była to próba męstwa, na jaką wystawił „dzieciaków“.

Włożywszy fajkę do kieszyni, wraz z kapitanami, zaczął przeglądać.

Zatrzymawszy się przy jednym z żołnierzy, rzekł:]

— Siodło twoje źle położone. Zejdź i popraw. Ocierasz bok swemu koniowi.

Drugiego zapytał ile ma koszul i zauważył, że podpinka u uzdy zanadto ściągnięta, przeszkadza koniowi oddychać swobodnie. W ciągu tego, kula trafiła klacz jego, on jednak dalej spokojnie postępował.

Wachmistrz, do którego zwrócił mowę, nie miał czasu odpowiedzieć, bo rażony kulą, padł na ziemię. Dalszego żołnierza spytał o czapkę, kamizelkę i mantelzak. Z zadowoleniem spostrzegł, że ten odpowiada spokojnie, nie okazując strachu. Następemu, którego koń ciągle poruszał głową, kazał zsiąść i poprawić uzdę. Gdy postępował dalej, przeglądając szablę, koń jego padł. Siadłszy spokojnie na konia, którego mu przyprowadzono po jednym z zabitych, robił dalej przegląd. U jednego zobaczył broń niewyczyszczoną. Ten, którego spotkał zarzut, iż płaszcz krzywo ma zwinięty, chciał się obejrzeć, ale w tej chwili, trafiony kulą, stoczył się z konia.

Generał skończywszy przegląd, stwierdził, iż w szeregach brakło już 50 ludzi.

Wróciwszy na miejsce, zobaczył, iż nieprzyjaciół szycuje się do szarży, ciągle strzelając. Wtedy zapalił znów swą ulubioną fajeczkę a wzniosłszy szablę do góry, zawołał:

— Żołnierze! zrobiłem z was huzarów! Niech żyje cesarz Napoleon — a teraz marsz!

I wesół, pochylając głowę nad łeb swego konia, rzucił się jak piorun i wyprzedził na dwadzieścia kroków swe szwadrony.

Nastąpił zgiełk i zamęt. Gaskończycy, jakoby ta sprężyna, co po usunięciu nacisku, nagle odskakuje,

wpadli teraz na pułki Hohenlohego. Takie zniszczenia, jakie uczynili, nie byłby nawet sprawił huragan.

Po kilku chwilach, zostały na polu bitwy tylko armaty i gęsto leżące ciała poległych Niemców.

Złote ziarnka.

Kto jest zadowolony ze swego małego losu, ten wygrał los wielki na loteryi życia.

— o —

Pochlebstwo więcej ludziom przynosi szkody niż oszustwo.

— o —

Gdy nie możesz umknąć niebezpieczeństwa, najlepiej, gdy mu śmiało stawisz czoło.

— o —

Liczyć na przypadek, to głupota; korzystać z przypadku, to mądrość.

— o —

Dziwnie Opatrzność Boska swoich wiernych broni, Gdy zechce, pajęczyną, jak murem osłoni.

— o —

Odmieni Bóg wyroki Swoje, gdy my odmienimy złości nasze.

— o —

Kto się modli nie pracując, ten bluźni. Kto pracuje nie bluźniąc, ten się modli.

— o —

Lepsza uboga mądrość, niż głupie bogactwo.

Rady zdrowia.

Jak i czem odżywiać chorego.

Strzedz się należy dawania ciężko choremu, bez zezwolenia lekarza, wódki, piwa, wina, lub innych trunków, choćby się ich chory domagał, lub sąsiedzi niebacznie doradzali. Jeśli chory w początku wymiotuje lub ma silne bóle i kolki w brzuchu, to najlepiej przed przybyciem lekarza, wcale mu jeść nie dawać, jeno do picia herbatę lub czystą wodę, po trochu na raz. Myliłby się ten, coby sądził, iż choremu z głodu się pogorszy; przeciwnie, podając mu coś ciągle, narazić by go można na dalsze wymioty, bóle i zmęczenie.

Nie trzeba ciągle pytać chorego, czy nie chce czego zjeść, bo albo to go męczy, albo odpowie, że

nic nie chce, albo też zażąda czegoś takiego, czego mu dać nie można. Natomiast, gdy mu się niepytając poda to, na co doktor pozwolił, byle czysto i smacznie przyrządzone, zwykle zje chętnie i nie będzie się naprzykrzał tego, co mu nie wolno. Nigdy też nie trzeba zmuszać chorego do jedzenia, gdy on czuje wstręt do jedzenia. Po pewnym czasie jednak, trzeba spróbować znowu i podać mu zalecony pokarm, zachęcając go do jedzenia.

Wszystko, co choremu się podaje, powinno być świeże i dobre. Solić je bardzo mało, zwłaszcza dla gorączkujących; korzeni wcale nie dodawać. Jeśli chory skarży się na niesmak w ustach, powinien je przepłukać przed jedzeniem letnią wodą, lub wytrzeć je wewnątrz czystą szmatką zmoczoną w wodzie. Podczas jedzenia nie trzeba przeszkadzać choremu. Pokarmy dawane mu niech nie będą zbyt zimne ani zbyt gorące. Dla wystudzenia postawić na chwil kilka na oknie, aby samo przestygło.

Im bardziej chory jest osłabiony, tem częściej jadać powinien, nawet i w nocy, jeśli zechce. Gryść powinien bardzo dokładnie, mimo iż jadło i tak krajać mu trzeba na drobne kawałeczki.

Półprzytomni lub całkiem nieprzytomni chorzy, którzy sami nie żądają pić, powinni być często pojeni łyżką lub łyżeczką, bo pozostawienie ich bez ugaszenia pragnienia może być dla nich szkodliwe. Po przyjęciu posiłku chory musi zostać w spokoju lub zasnąć; nie trzeba mu w tem przeszkadzać.

Nie należy zezwalać, aby znajomi, odwiedzający chorego, przynosili z sobą i dawali mu jakieś nie stosowne pokarmy, zwłaszcza tak ciężkie, jak np. kiełbasa, ser suchy, placki itp. Trzeba się tego wystrzegać, zwłaszcza, gdy chore jest dziecko. A bywa nieraz, iż jakaś sąsiadka czy kumoszka, niby z dobrego serca, chce mu wsunąć pokryjomu, jakiś niedojrzały owoc, farbowane cukierki, twarde obwarzane — i tem wiele pogorszyć może chorobę.

Gdy chory jeść skończy, należy natychmiast naczynia i reszki jedzenia wynieść z jego pokoju i czysto je wymyć, gdyż zwłaszcza jeśli ma on gorączkę, choroba mogłaby łatwo przez naczynia te udzielić się drugim.

Rady gospodarcze.

Do dobrego urodzaju kartofli przyczynia się w wielkiej mierze ich obróbka. Przez obróbkę kartofli ustalają się warunki wilgoci w ziemi, ułatwia się dopływ powietrza, ciepła i odżywczych materii do korzeni; poza tem niszczą się przez nią chwasty.

Pierwszą czynnością przy obróbce kartofli jest bronowanie. Zazwyczaj bronuje się wtedy, gdy kartofle wschodzić zaczynają; lepiej jednak nie czekać tak długo, lecz bronować, gdy pierwsze chwasty wschodzą. Chwasty tem łatwiej ulegają zniszczeniu przez bronowanie, im są młodsze, a po drugie: im dłużej rosnąć im się dozwala, tem więcej pożywności wykradną z ziemi kartoflom.

Przez wczesne bronowanie wzruszy się powierzchnia ziemi, co ułatwia wschodzenie kartofli a gdzie który kartofel nie dobrze, albo też wcale nie został przykryty, to się owe błędy za pomocą brony naprawia.

Do tego pierwszego bronowania można użyć bron lekkich, a zaś, gdy kartofle wschodzić zaczęły, zbronować jeszcze raz cięższymi bronami. Jeżeli zmuszeni jesteśmy bronować, zanim ziemia dobrze obeschła, wtedy łatwo potworzą się grudy, zwłaszcza na ziemiach cięższych; w takim razie dobrze będzie przejechać walcem, aby grudy rozgnieść zanim zaschną. O zbytne ugnięcie roli nie potrzeba się obawiać. Kto nie pożałuje czasu i trudu na bronowanie kartofli, ten później uciechę mieć będzie z tego, że kartofle będą bez chwastów, a przeto i urodzaju lepszego będzie można od nich się spodziewać.

Fraszki.

Dwaj żydzi rano się spotkali. Jeden mówi: — Giten handel! — na co drugi odpowiada: — Brech do kiskes ze swoim „giten handel“. Ja potrzebuje, coby mi se dżysz ze sklepem spalało, bo ja wczoraj zapłacił sekuracye!

Niewyraźnie. Przechodzeń pyta spotkanego przyjaciela: — Co ci się stało, dla Boga, żeś taki wzburzony? — No wyobraś sobie, żona rozbiła dziś garnek...

O, i ty się tem tak martwisz? —

-- No, pewnie! — Chyba jakiś kosztowny to był garnek, parcelowany, albo połączany? — Ale gdzie tam! zwyczajny, gliniany czerep. — I czegoż cię to tak trapi?

No, bo trzeba ci widzieć, że żona rozbiła mi go na głowie!

Ba, to tak odrazu mi gadaj!

Zagadka.

Z „k“ przypominam lechickiego księcia,
Z „j“ — gdym ojczyzną, kochacie jak życie.
Z „m“ jestem sklepem, z „b“ nazwą zwierzęcia,
A samą wówczas mnie tylko widzicie,
Gdy z wiosną pędzę w szalonym natłoku
I w dali ginę, jak fale potoku.

Znaczenie zagadki

zamieszczonej w Nrze 5-ym „NIEWIASTY“.

A-men.

Rozwiązanie tejże nadesłali:

Helena Bobakowa, czytelniczka „Niewiasty“
Mętków.